

Alicja Marciniak
Gdańsk

Nosisz w sobie skarb

Rzadko zdarza się, aby o kogoś zabiegano ze względu na niego samego. Najczęściej powodem zainteresowania okazywanego człowiekowi przez innych jest perspektywa jego użyteczności, a zatem tego, co potrafi zrobić lub co można dzięki niemu uzyskać. Z tego powodu dosyć dużą trudność sprawia nam odszukanie w pamięci sytuacji, w których ktoś ważny dla nas poświęciłby całą swoją uwagę tylko po to, aby nas lepiej poznać i zafascynować tym, co w nas zobaczy. Dlatego też wiele z nas egzystuje w przygnębiającym przekonaniu, że nie posiadamy niczego szczególnego w sobie, co nie tylko dla nas, ale także dla innych warte byłoby poznania.

Z jednej strony tęsknimy za tym, aby być poznane, z drugiej zaś boimy się ujawnienia prawdziwego oblicza naszej kobiecości, ponieważ nosimy w sobie głęboko zakorzeniony lęk, że nie jesteśmy takie, jak powinnyśmy być. Ów lęk pochodzi z najboleśniejszych doświadczeń naszego życia, które negatywnie wpłynęły na nasze poczucie wartości i naszą tożsamość, powodując, że w głębi serc uważamy, iż nie jesteśmy dobrymi córkami, siostrami, matkami, żonami, przyjaciółkami, chrześcijankami, chociaż takimi chciałybyśmy być. W tym przekonaniu utwierdzają nas słowa, które przez lata słyszałyśmy na swój temat, a które wciąż na nowo odtwarzane są w naszych myślach przy okazji różnych sytuacji: głupia, brzydka, niekompetentna, córka pijaka, niewarta miłości, nieatrakcyjna.

Kiedy w życiu otrzymujemy niewiele miłości, aby przeżyć, próbujemy samodzielnie budować własną tożsamość, a „tworzywem” są chwile i osoby, na które, według naszej oceny, wywarłyśmy największy wpływ, nawet jeśli te chwile i te osoby nie mają nic wspólnego z naszą prawdziwą tożsamością, a nawet ją zafałszowują. W podejmowanych przez nas, najczęściej podświadomych działaniach oscylujących wokół zastanawiania się nad tym, co inni o nas pomyślą lub co zrobić, aby pozyskać ich uzna-

nie, nie ma nic dziwnego. Tożsamość bowiem nie spada nam z nieba, lecz jest nadawana w społeczności. Czerpiemy ją od siebie nawzajem, a to oznacza, że jesteśmy tym, kim jesteśmy w relacji do innych. Nie inaczej jest w „społeczności”, którą tworzy Trójca Święta. Jej członkowie czerpią swoją tożsamość od siebie nawzajem. Dlatego Bóg Ojciec nie byłby Ojcem gdyby nie Jego odniesienie do Syna. Byłby co najwyżej Bogiem Jahwe, Wszechmogącym, ale nigdy *Abba* – tatusiem. Chrystus natomiast nie byłby Synem, gdyby nie obecność Boga Ojca.

Poszukując swojej tożsamości, próbujemy przerobić własne historie w coś, co, mamy nadzieję, bardziej spodoba się światu. W tym celu zaczynamy odgrywać najprzeróżniejsze życiowe role. Dla jednych kobiet będzie to atrakcyjność fizyczna lub gromadzenie pieniędzy, dla innych z kolei status profesjonalistki z racji posiadanej wiedzy, krasomówcze talenty, idealne małżeństwo bądź wspaniałe prowadzenie domu. W rzeczywistości nie ma znaczenia, jakie role odgrywamy, ponieważ, niezależnie od tego, jakie one są zawsze pozostaną wyłącznie substytutami miłości, którymi próbujemy zrekompensować wszelkie jej braki. W ten sposób przez lata napełniamy nasze serca bezwartościowym pokarmem, który niczym *fast foody* nie jest w stanie zaspokoić obecnego w nas głodu miłości. W rezultacie tracimy kontakt ze swoim sercem, czując się coraz bardziej zmęczone życiem, upływającym pod presją podtrzymywania ról lub wymyślania nowych oraz nieustannym staraniem się, aby nigdy nie odkryto, kim naprawdę jesteśmy i jakie mamy problemy. Jesteśmy po prostu zmęczone egzystowaniem w przedstawieniach wymyślonych przez siebie, które mają niewiele wspólnego z prawdziwym życiem. W jakimś stopniu wszyscy uczestniczymy w tym światowym spektaklu, chociaż nie zawsze jako aktorzy pierwszoplanowi. Dlaczego to robimy?

W pewnym sensie nie ma nic szczególnie dziwnego w naszych usilnych dążeniach, by zapewnić sobie uznanie i z pewnością nie są one wyłącznie efektem próżności. Zostałyśmy bowiem stworzone dla chwały, dla czulej uwagi, jaką Trójca Święta otacza siebie nawzajem i nie możemy bez niej żyć. Dlatego chcemy wiedzieć, że mamy znaczenie, że liczymy się w życiu innych ludzi, że naszej obecności nie zastąpi żadne domowe zwierzątko. To właśnie z tego powodu, pomimo iż często sądzimy, że nie ma w nas nic godnego pożądania, pragniemy być pożądane. Tęsknimy za tym, aby być czyjąś piękną lub czyimś bohaterem i ta tęsknota, jaką sam Bóg złożył w nas, stanowi głęboki składnik naszej tożsamości jako mężczyzn i kobiet. Która z nas nie chciałaby być Heleną Trojańską? To znaczy kobietą kochaną, kobietą porwaną, kobietą poszukiwaną, kobietą wywalczoną i wreszcie kobietą ocaloną, a więc kobietą, która bez wątpienia знаła swoją wartość, a tym samym wiedziała, że jej życie ma wielkie

znaczenie dla innych. Czy jako kobiety czujemy, że jesteśmy współczesną Heleną Trojańską?

Niewątpliwie wszystkie nią jesteśmy, bo każda z nas jest umiłowaną wielkiego Króla; umiłowaną, która nie raz, ale wiele razy porzuca Go i odchodzi, rezygnując z Jego miłości. Tym Królem jest Jezus. On nigdy nie pogodził się z naszym odejściem i dlatego, aby nas odzyskać, zrezygnował z królewskiego tronu, rozpoczynając miłosne obłężenie naszych niewiernych serc. Nie bacząc na królewskie konwenanse, spragniony naszego śmiechu, naszych łez, naszych marzeń i lęków, po prostu nas takich, jakimi jesteśmy – niczym zazdrosny kochanek nieprzerwanie toczy zaciętą walkę o każdy skrawek naszego serca, „bombardując” je swoją miłością. Niestety, dla wielu z nas myśl, że Bóg jest Tym, który pragnie naszego serca, wydaje się zbyt dobra, aby była prawdziwa. Żyjemy bowiem w przekonaniu, że nikt nigdy nie pragnął nas tylko dla naszego serca, a w każdym razie nie na długo.

To prawda, że nie jesteśmy tym, kim miałyśmy być i dobrze o tym wiemy. Czujemy, że nasza najprawdziwsza tożsamość leży w gruzach, zniszczona przez wewnętrzne wojny, które nieustannie toczyliśmy we własnych sercach i katastrofalne wybory, których dokonujemy. Dlatego boimy się zatrzymać, aby zobaczyć nasze życiowe pogorzelska, a jeszcze bardziej boimy się, że zobaczą je inni, więc, pomimo braku sił, nadal próbujemy odgrywać swoje role. Czy słusznie? Z pewnością bez trudu możemy sobie wyobrazić niezwykle piękno architektury starożytnego Egiptu lub Grecji, mimo iż na przestrzeni wieków na skutek wojen i upływu czasu została bardzo poważnie złupiona i zniszczona, pozostając zaledwie niewielkim śladem swej minionej świetności. Ale, pomimo tak wielu zniszczeń, nadal emanuje jakimś niezwykłym pięknem, które budzi podziw, a jej chwały nie sposób wymazać, bo do dziś pozostało w niej coś tajemniczego, szlachetnego i zarazem majestatycznego.

Jakże często jesteśmy podobne do tych starożytnych ruin. Samotne, rozczarowane sobą, życiem, wykorzystane i porzucone, ograbione, grzeszne, zniszczone w swojej kobiecości, ale nadal wspaniałe. Jesteśmy niczym chwalebna ruina i w przeciwieństwie do wspaniałych ruin Egiptu i Grecji należymy do Chrystusa. Dlatego, mimo iż, podobnie jak Helena Trojańska, mamy swój udział w ucieczce i to z nie jednym „kochankiem”, pamiętajmy, że każdego dnia możemy być odnawiane, odbudowywane i przywracane do zdrowia przez Boga, który jest odwiecznym Romantykiem, niestrudzonym Poszukiwaczem i Oblubieńcem. A zatem gdzieś w świecie musi istnieć ta, której poszukuje, ta którą kocha, ta która Go porzuciła, czyli Jego upragniona oblubienica. Bez wątplenia każda z nas nią jest. Dlatego głęboko w naszych sercach Bóg złożył wielki skarb. Tym skarbem jest niedająca się zagłuszyć tęsknota za Jego miłością, a więc

pragnienie, które może zaspokoić tylko On. To pragnienie jest tak wielkie i nieokiełznane w swej tęsknocie, że jego niezaspokojenie wywołuje ogromne cierpienie, zarówno w sferze emocjonalnej, intelektualnej, duchowej jak i cielesnej. Żyjemy jednak w XXI wieku i dzięki preparatom stosowanym w leczeniu paliatywnym bez problemu radzimy sobie z bólem nękającym nasze ciała. Nic więc dziwnego, że równie skutecznie próbujemy rozprawić się z bólem spowodowanym głodem miłości. W tym celu korzystamy z najprzeróżniejszych „środków przeciwbólowych”, tworzących co najmniej dwa zestawy naszych osobistych znieczulaczy, których używamy w zależności od rodzaju i intensywności odczuwanego cierpienia.

Do pierwszego zestawu należą różnego rodzaju formy kompetencji lub porządku, polegające na perfekcyjnym kontrolowaniu swoich pragnień, a więc takie zachowania, których głównym celem jest unikanie jakichkolwiek niespodzianek, będących skutkiem własnego lub czyjegoś pożądania. W ten sposób chcemy osłonić poranione miejsca w swoim sercu, a metodą, jaką wybieramy, jest szczelne jego zamknięcie. Kontrolowanie swoich pragnień może wyrażać się w najróżniejszych dziedzinach, np. poprzez wzorowe prowadzenie domu, pedantycznie uprzątnięte mieszkanie, nieskazitelny wygląd samochodu lub religię opartą na nakazach i zakazach, która zna rozwiązanie każdego problemu najwyżej w trzech prostych krokach. Większość z nas wyrosła w atmosferze uładowanej grzeczności, wymagającej nieskazitelności i powściągliwości w zachowaniu. Stąd niemal perfekcyjnie nauczyliśmy się tłumić swoje pragnienia i w żaden sposób nie angażować w postępowanie, które można by przypisać postępowaniu gwałtownych kochanków.

Drugi zestaw środków znieczulających, którymi staramy się zminimalizować własne cierpienie spowodowane brakiem miłości, wydaje się bardziej atrakcyjny. Polega bowiem na pobbłazaniu sobie, czyli pokładaniu całej nadziei w tym, że spotkamy kochanka, który ofiaruje nam jakąś formę natychmiastowego zaspokojenia, a więc jakiś posmak transcendencji, będący niczym kropla wody dla naszego zaszuszonego serca. Ten posmak transcendencji, niezależnie od tego, czy będzie to romans, narkotyki, obsesja na punkcie sportu, wyglądu lub utrzymywanie się z własnych talentów, mimo że pochodzi z zupełnie nie-transcendentnego źródła, wywołuje w duszy taki sam skutek jak kokaina, ponieważ wchodzi w to miejsce w naszym sercu, którego przeznaczeniem jest więź o charakterze transcendentnym. Dlatego tak silnie zniewala. Cokolwiek bowiem stanowi przedmiot naszego uzależnienia, stapia się z naszym najgłębszym pragnieniem wiecznej i bliskiej więzi z Bogiem, a więc z pragnieniem miłości, które On sam umieścił w każdej i w każdym z nas. Dlatego uzależnienie, jakie by nie było, to największy wróg psychiczny, jakiego napotyka

ludzkie pragnienie Boga. Uleganie słabościom pozostawia w nas pustkę i gotowość do wzięcia udziału w kolejnej rundzie nawadniania pustyń naszych serc, a więc w cyklu, który nie ma końca. Zatem, podążamy przez życie zapalczywie szukając kogoś, kto zapełniłby pustkę pozostawioną w nas przez ojca, matkę, dziecko lub współmałżonka i najczęściej uznajemy, że tym „szczęściarzem” będzie mąż, przyjaciel, przyjaciółka lub ktoś, kogo upatrzyliśmy w gronie znajomych. Generalnie więc wchodzimy w międzyludzkie relacje z następującym nastawieniem: „Kochany mężu, przyjacielu, synku, córko, ponieważ nikt nigdy nie kochał mnie tak, jak tego rozpaczliwie pragnęłam, dlatego tobie zamierzam dać tę niezwykłą, życiową szansę. A zatem w twojej mocy jest zaspokojenie mojego głodu”. Takiej presji nie wytrzyma żadne ludzkie serce, nawet gdyby nasi wybrańcy, a raczej ofiary, były chodzącymi ideałami. Oni po prostu nie mają szans, ponieważ nie są w stanie zaspokoić tej pustki, którą jest tęsknota za miłością, a którą w sposób celowy Bóg umieścił w naszych sercach, aby doprowadziła nas prosto w Jego ramiona.

Niewątpliwie najróżniejsze formy znieczulania w mniejszym lub większym stopniu są doświadczeniem każdej z nas, ponieważ każda z nas na jakimś etapie swojej chrześcijańskiej wędrówki staje w obliczu takich wydarzeń, wobec których nasze serce na co dzień znieczulane przez fałszywych kochanków, albo tych od kompetencji i porządku, albo tych od dawania upustu słabościom, czuje, że dalej jest już tylko niebezpieczna przepaść. Te wydarzenia, obecne w życiu każdej kobiety, można przyrównać do rzeczywistości, którą nakreśla Jezus w Ewangelii św. Łukasza (zob. Łk 21,5-19). Wyraźnie wskazuje, że w życiu każdej z nas przyjdzie taki czas, kiedy z tego, na co patrzymy „nie zostanie kamień na kamieniu”, a na pytanie uczniów „kiedy to nastąpi i jaki będzie znak?” – odpowiada, że „naród powstanie przeciw narodowi, królestwo przeciw królestwu”, a więc będą „wojny, trzęsienia ziemi”, czyli katastrofy i zdrady. Czyż nie jest to obraz, który odpowiada jakimś tragicznym wydarzeniom naszego życia, które przeżywałyśmy lub przeżywamy jako skutek wojen toczonych we własnym sumieniu, zwodniczej mocy pieniądza, zdrady własnej, przyjaciela lub męża? Ale Jezus zapewnia nas, że pomimo tych kataklizmów włos z głowy nam nie spadnie. Dlatego powinniśmy nabrać Ducha i podnieść głowy, bo przede wszystkim te wydarzenia zwiastują zbliżanie się naszego odkupienia, a wraz z nim prawdy, wyzwalającej z uzależnień i ról, które ogrywamy przed sobą i przed światem. A zatem wydarzenia, które wstrząsają naszym życiem, dają nam okazję do wsłuchania się we własne serca i odkrycia, być może po raz pierwszy, że są one zmęczone i czują się z maltretowane: zarówno udawaniem, uleganiem rutynie, jak i folgowaniem sobie. Może również po raz pierwszy usłyszymy pełen miłości głos Chrystusa przyzywający nas do siebie?

Ale czy warto podążać za Umiłowanym i jego miłością, i czy miłosny związek z Chrystusem zmienia coś w naszym codziennym życiu? Czy Bóg zabiega o nas, kiedy brakuje nam pieniędzy, kiedy stajemy w obliczu raka, rozvodu lub samotności, na którą się nie zgadzamy? Niewątpliwie te dramatyczne wydarzenia uderzają w samo sedno naszych najgłębszych obaw i najczęściej powodują, że prosimy Boga, aby je od nas odsunął. Kiedy zaś Bóg tego nie robi, myślimy, że nie jest zainteresowany tym, co dla nas najistotniejsze. Zatem z rozczarowaniem w sercach spowodowanym brakiem pomocy z Jego strony oraz z przekonaniem, że jesteśmy zdane wyłącznie na siebie, podejmujemy samotną walkę o własne dobro. Osobiście myślę, że te wszystkie poważne problemy, z którymi przychodzi nam się zmierzyć, jeśli oczywiście przeżywamy je świadomie, doprowadzają nas do sytuacji, w których serce Boga zostaje postawione przed naszym ludzkim sądem, oczekując na wyrok, będący wyborem określonej drogi życia, dokonany osobiście przez każdą z nas. Albo zdecydujemy się zawierzyć Bożej miłości, opowiadając po stronie Boga i uwierzmy Jego słowom: „Świadom jestem zamiarów, jakie zamyślam wobec was – zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej pragniecie” (Jr 29,11). Albo po raz kolejny zaufamy swoim fałszywym kochankom i pójdziemy drogą samoocalenia, która prowadzi donikąd, ponieważ tak naprawdę zwraca się przeciwko Trójcy Świętej.

Co zatem zyskujemy, kiedy wybieramy wędrowanie z Bogiem? Myślę, że bardzo wiele. Przede wszystkim przestajemy udawać, że życie jest lepsze niż jest, a my jesteśmy szczęśliwsze, niż jesteśmy. Tym samym przestajemy grać role, które przez lata wcielałyśmy w życie. Rozumiemy bowiem, że nasze udawanie stanowi przeszkodę w obcowaniu z Bogiem i dzieleniu się Nim z innymi. Dlatego porzucamy naszych fałszywych kochanków i z nadzieją wchodzimy na drogę prawdziwego życia; drogę, która, mimo iż nie jest usłana różami, niczego nie traci ze swego niepowtarzalnego piękna. Przeorane doświadczeniem wiemy już, że poprzez najcięższe wydarzenia i najuciążliwsze niewygody Bóg ocala nasze serca w ich najbardziej osobistym wymiarze. To wskrzeszenie serc ma nam uzmysłwić nasze powołanie, którym jest wzrastanie w chwale, a więc życie w przekonaniu, że w każdej z nas jest obecne dobro i piękno – niezależne od grzechu, który popełniamy. Życie z taką świadomością oznacza z kolei, że będziemy musiały stoczyć niejedną walkę o przywrócenie piękna swoim sercom i sercom innych znanych nam ludzi. Mamy bowiem wzrastać w miłości, aby poprzez jej posiadanie móc ją oddawać i zarazem przydawać innym. Ale żeby dzielić się miłością potrzebujemy jej więcej i więcej, czyli potrzebujemy być głodne Boga, Potrzebujemy pogłębienia bliskości z Jego sercem, bo tylko bliskość jest podstawą spełnienia więzi duchowej, emocjonalnej i fizycznej, jakiej pragniemy.

Dlatego prawdą jest, że najważniejszym celem i przeznaczeniem człowieka jest poznanie Boga i cieszenie się Jego wiecznym poznawaniem. Nietrudno jednak zauważyć, że ten cel nie zapiera nam tchu w pierśsiach. Między innymi dlatego, że życia duchowego nie doświadczamy jako fascynującej wędrówki ku zjednoczeniu kochających się serc, ale jako czegoś uciążliwego, trudnego i wyczerpującego. Bojąc się, aby nasza duchowa słabość i zniechęcenie nie wyszły na jaw, najczęściej jeszcze gorliwiej angażujemy się w chrześcijańską służbę, modlitwę, zgłębianie *Pisma Świętego* i przestrzeganie przykazań, a kiedy, wyczerpane tą wzmożoną aktywnością, nie widzimy poprawy, próbujemy zepchnąć rozczarowanie i przygnębienie sobą głęboko w serca i, pomimo zmęczenia, odgrywać rolę dobrych chrześcijanek. Zupełnie zapominamy, że, nie przyznając się do własnej słabości i niemocy, podobnie jak faryzeusze, idziemy dokładnie w przeciwnym kierunku do tego, gdzie możemy znaleźć zbawienie. Naszym zbawieniem jest Chrystus i tylko On może wprowadzić nas w miejsce wytchnienia: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię; weźcie moje jarzmo na siebie i ucztujcie ode mnie, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych” (Mt 11,28-29). Zatem życie na sposób duchowy wymaga trwania w Chrystusie. „Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze mnie nic nie możecie uczynić” (J 15,5). Jezus niewątpliwie zamieszkał w każdej z nas, ale my często ходzimy do innych pocieszycieli, zapominając, że świętość nie wynika z robienia czegoś, ale z bycia w Bogu, z tego kim i gdzie jesteśmy oraz z tego kim i gdzie Bóg jest w nas. Stąd nasza indywidualna tożsamość zaczyna się formować nie wskutek robienia czegoś, ale wskutek długoletniego przebywania z bliskim Przyjacielem. Tylko wspólne przebywanie z Chrystusem staje się fundamentem naszej przemiany i źródłem upragnionego szczęścia.

My natomiast często żyjemy tak, jakby życie doczesne było naszą jedyną nadzieją i szansą na szczęście. Zapominamy, że jeżeli nawet zdołamy uniknąć gorzkich tragedii, życie i tak rzadko spełni nasze oczekiwania. Przekonujemy się o tym, kiedy uda nam się zakosztować tego, za czym tak bardzo tęsknimy. Wtedy bowiem okazuje się, że nasze wymarzone szczęście nigdy nie trwa wiecznie: noc poślubna kończy się z nastaniem świtu, urlop z chwilą powrotu do pracy, kariera zawodowa wraz z przejściem na emeryturę, przyjaciele wyprowadzają się i wyjeżdżają, my natomiast mamy poczucie winy, że czujemy się rozczarowane takim życiem.

Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ zostałyśmy stworzone do czegoś większego. Tym czymś jest Niebo. To właśnie tęsknota za nim nie daje nam spokoju, szepcząc w każdym rozczarowaniu i krzycząc w każdym niezaspokojonym pragnieniu. C. S. Lewis powiedział, że jeżeli od-

krywam w sobie pragnienia, których nic na świecie nie może zaspokoić – to jedynym logicznym wytłumaczeniem tego faktu jest to, że zostałem stworzony do innego świata. A zatem kresem naszej osobistej wędrówki jest coś, co przekracza nasze najśmielsze marzenia i nasze najśmielsze wyobrażenia.

Rzadko jednak mówimy o niebie, a jeśli w ogóle podejmujemy dyskusję, to niebiańskie obrazy, którymi się posługujemy, nie zachwyciłyby nawet małych dzieci. Otóż niebiańska rzeczywistość ku której powinniśmy z wielką pasją i determinacją podążać, jawi się mniej więcej następująco: tłuste bobasy trzepoczące maleńkimi skrzydełkami, wylegujący się na chmurkach święci szarpiący struny harf i spoglądający w zadumie na ziemię, gdzie tak naprawdę rozgrywa się prawdziwa akcja. Niewątpliwie najbardziej dynamiczną propozycją niebiańskiego życia jest możliwość uczestniczenia w niekończącym się nabożeństwie z udziałem świętych ubranych w długie, białe szaty, z którymi będziemy mogli wielbić Boga. Chciało by się zapytać: i to wszystko?! Jak długo można śpiewać hymny i pieśni oraz wylegiwać się na chmurkach? Nic dziwnego, że wielu chrześcijan uważa ziemię za znacznie ciekawszą od nieba, a idea wiecznego odpoczynku straszy niczym cmentarna reklama. Otóż dopóki nasze obrazy nieba będą nudne, banalne i kliwne, tak też będzie wyglądała nasza wiara. Nie ma bowiem znaczenia, czy mamy do czynienia z nudną prawdą, czy kłamstwem, bo w rzeczywistości znudzenie, a nie zwątpienie jest największym wrogiem wiary, podobnie jak obojętność, a nie nienawiść, jest największym wrogiem miłości.

A przecież niebo to początek miłosnej przygody z Kimś, dla Kogo mamy znaczenie, za Kim tęskniłyśmy całe życie; przygody wyrażonej w *Biblii* poprzez obraz uczyty weselnej. Warto, abyśmy pamiętały, że tym, co odróżnia tę ucztę od innych, jest perspektywa intymności nocy poślubnej. Tak więc Bóg posługuje się obrazem najczulszego doznania na ziemi, jakim jest zjednoczenie męża i żony, aby wyrazić głębię bliskości, jaką będziemy dzielić z Nim. Bóg mówi, że kiedy znajdziemy się w niebie, On da nam biały kamyk z wypisanym na nim nowym imieniem, które jest znane tylko Jemu. A zatem nikt nigdy nie zwracał się do nas i nie zwróci w taki sposób, jak nasz Oblubieniec, ponieważ tego rodzaju imienia używają wyłącznie kochankowie i tylko wtedy, kiedy są sami, gdyż odzwierciedla ono niepowtarzalną intymność łączącej ich więzi (Ap 2,17).

A zatem niebo to niezwykła rzeczywistość, w której nie będziemy się wstydić i ukrywać, bo w końcu po latach ziemskich zmagani z własną słabością będziemy wolne od grzechu, czyli od tego, co sprawia, że przestajemy być sobą. Wreszcie przekonamy się, że jesteśmy skarbem ukrytym w „sejfie”, jakim jest Trójca Święta. Bóg uczyni nas filarami swojej Świątyni (Ap 3,12). Ale to nie oznacza, że będziemy jej statycznymi ele-

mentami architektonicznymi. Wskazuje raczej na nasze aktywne współuczestnictwo w budowaniu świętego miasta, np: ten kto kocha kwiaty, sadzić będzie ogrody; ten kto jest architektem, projektować będzie najnowocześniejsze budynki; ten kto jest filozofem zgłębiać będzie tajemnice początku wszechświata. Chrystus bowiem nie umarł na krzyżu, abyśmy przez całą wieczność siedzieli na ławce z chmurki. Każdy z nas jest czymś innym, czym nie jest nikt inny i stąd wie o czymś, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy – o czym nie wie nikt inny, a zatem ma za zadanie dać swoją część pozostałym, aby wspólnie zachwycać się pięknem wcześniej nieznanym. Nic więc dziwnego, że, podobnie jak aniołowie, będziemy wołać jeden do drugiego: „Święty, Święty, Święty” – zachwyceni pięknem, które rozpoznamy w sobie dopiero w obecności i majestacie Boga. Nieustannie będziemy uwielbiać Pana Wszechświata, ponieważ w pełni rozwiną się nasze zdolności poznawcze i twórcze. Bóg pozwoli nam także poznać i poznawać siebie nawzajem, ale nie po to, aby nas zawstydział i na oczach całego wszechświata dokonywał projekcji wydarzeń z naszego ziemskiego życia. Przyodzieje nas bowiem w szaty zbawienia i nie dozwoli, aby Jego oblubienica była obnażana na oczach stworzenia. Niezależnie więc od tego, co ze swojej przeszłości będziemy pamiętać w niebie, możemy być pewne, że ta świadomość przyda nam się jedynie do radości. Będziemy kontemplować i opowiadać swoją historię w świetle odkupieńczego dzieła Chrystusa, odkrywając z radością, że Bóg zarówno tego, co dobre, jak i tego, co złe; radości i smutku użył dla naszego dobra i swojej chwały, bo chwałą Boga jest żyjący człowiek, a więc człowiek, który pomimo własnej grzeszności nie stracił nadziei na niebo.